



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Danuta Pastuszyńska-Szpadrowska, z d. Podrucka

Nigdy nie zapomnę

Urodziłam się 17 kwietnia 1934 roku w Warszawie, na Pradze, w małej oficynie w podwórzu przy ulicy Skaryszewskiej 15 (budynek dawnej szkoły podstawowej).

Miałam 5 lat, kiedy rozpoczęła się II wojna światowa. Wtedy razem z rodzicami oraz piątką rodzeństwa (ja byłam najmłodszym szóstym dzieckiem) mieszkaliśmy w niewielkim mieszkanku przy ul. Brukowej na Pradze. Z tamtych czasów pamiętam choinkę wiszącą pod sufitem i kolejkę do kąpeli w balii. Choć byliśmy liczną rodziną – dzięki pomocy dziadków i pracowitości rodziców żyło nam się całkiem dobrze. Ojciec mój był taksówkarzem i jeździł własnym samochodem.

Z wojny obronnej we wrześniu 1939 roku pamiętam niewiele. Byłam wtedy zaledwie pięcioletnią dziewczynką. Jedyne, co pozostało w pamięci z tamtego okresu to nasza ucieczka z mamą na wieś w kierunku Mińska Mazowieckiego. Tatusia z nami nie było, bo został zmobilizowany do wojska.

Nasze auto prowadził najstarszy brat Heniek. Ja jechałam pod dachem, w pozycji leżącej, bo tylko tak podobno się zmieściłam. Pamiętam, że nasze bagaże umieszczone były na dachu i przywiązane do błotników. Później zamaskowany samochód przechowany został w sadzie stryjka Podruckiego we wsi Bestwiny. Tutaj dołączył do nas już rozbrojeny tatuś. Spotkaliśmy go uwieszona do furmanki, kiedy dojeżdżaliśmy do wioski. Z okrzykiem – „Tatusi, tatusi!” zatrzymaliśmy się, a ojciec zasiadł za kierownicą i dowiózł nas do wsi.

Przygarnęła nas tam dalsza rodzina. Choć sami biedni i głodni, wzięli nas wszystkich. Mieliśmy tam bardzo skromne warunki, spaliśmy na słomie na podłodze, ale dzięki ich pomocy przetrwaliśmy do końca 1939 roku.

Po powrocie do Warszawy do wybuchu Powstania Warszawskiego tatuś pracował u Niemców, jako kierowca samochodu ciężarowego. Dowoził nim z różnych dzielnic Warszawy niemieckich pracowników do pracy w magazynach Geleite Lange nad Wisłą. W tym czasie mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem przy ulicy Lubelskiej 8 na Pradze, w okolicy Dworca Wschodniego. Był to dom pana Jasińskiego.

Pierwsze skutki wojny oglądałam z rodzicami przez okno z pierwszego piętra naszego mieszkania. Widzieliśmy jak ciężarówkami przywożono i wyprowadzano poranione, kulawe i pokrwawione konie. Następnie zabijano je i wciągano do chłodni znajdującej się po prawej stronie podwórka. Widzieliśmy jak wnętrza zakopywano na działce pana Jasińskiego położonej w pobliżu garbarni i Dworca Wschodniego, gdzie dzięki uprzejmości właściciela mogliśmy uprawiać warzywa i jako dzieci bawić się pod rosnącymi tutaj bzami. W dniu, kiedy bawiliśmy się w tym właśnie miejscu, zobaczyliśmy dym nad Warszawą i buchające płomienie ognia. Dowiedzieliśmy się, że w Parku Skaryszewskim (zwanym też Parkiem Paderewskiego) został zestrzelony samolot, podobno sanitarny. Pomimo obstawy udało

nam się – dzieciom – dostać w pobliże pogorzelska, które znajdowało się przy mostku, pomiędzy krzakami. Na połamanych i nadpalonych drzewach wisały części samolotu. Z jeziora sterczało koło i jego części, a w wodzie pływały opalone korpusy ludzkie. Przy odgłosach strzelaniny od strony Warszawy, wystraszona pobiegłam do domu. Był tutaj tylko najmłodszy brat Julian, który powiedział mi, że rodzice kopią dół na terenie pralni Gebera. Zaczęłam krzyczeć przestraszona: „Kogo zabito?”. Brat uspokajał mnie i powiedział, że zakopują kufer z bielizną, obrazy i swój portret. Dzięki temu rzeczy przetrwały wojnę.

Na drugi dzień o świcie zajechali Niemcy z karabinami i obstawili nasz dom. Wykrzykując obelżywe słowa wyprowadzili nas na środek jezdnii i popędzili prosto ulicą Lubelską. Mieliśmy ze sobą tylko małe tobołki. Zostaliśmy wpędzeni na wał kolejowy, a następnie do świńskich wagonów towarowych z maleńkimi okienkami. Stojąc w duchocie, na zwierzęcych odchodach, dotarliśmy do Pruszkowa, do jakiejś zajezdni albo hal remontowych. W tych olbrzymich halach była już masa ludzi, którzy siedzieli albo leżeli na tobołkach rozłożonych na pobrudzonym olejem cemencie.

Po kilku dniach Niemcy wypędzili nas z krzykiem na plac przed hale i rozdzielili na grupy do wyjazdu w różnych kierunkach. Nasza mamusia rozwinęła swój tobołek, po czym dała każdemu łyżkę i kubeczek. Pamiętam dobrze, że podzieliła między nas chleb oraz pomidory z działki, bo doszły nas słuchy, że i nas rozdziela. Tak też się stało. Dwóch braci wywieziono do kamieniołomu, a siostrę do bauera w Sudety. Mnie, wówczas 10-letnią dziewczynkę, najmłodszego z braci – 16-letniego Juliana, rodziców oraz liczną grupę innych ludzi zapakowano do bydłowego wagonu kolejowego i długo wieziono w nieznanym mi kierunku. W podróży pociąg często stawał na bocznych torach. Odważniejszym mężczyznom udawało się jakimś cudem nabierać wody. Piliśmy ją z garnka. Każdy po łyku. Pamiętam jej smak – była okropna, śmierdząca oliwą, ale gasiła pragnienie.

Po wyczerpującej, długiej drodze pociąg nareszcie zatrzymał się i w środku nocy kazano nam wysiąść na łąkę przy torach. Dostaliśmy tam od kolejarzy wodę i kawę. Stamtąd odkrytymi wagonikami, kolejką wąskotorową, przewieziono nas do obozu Stutthof. Po wejściu na teren obozu zobaczyliśmy stosy włosów i sterty okularów. Pamiętam, że mamusia kazała nam się głośno modlić, choć panował szum i płacz innych ludzi zgromadzonych wokół nas. Ludzie klękali. Mamusia powiedziała nam, że tu jest koniec naszego życia.

Z transportu, którym przyjechaliśmy na miejscu pozostała tylko część osób, a reszta została zabrana do niby-łaźni. W rzeczywistości była to gazownia. Niemcy nikogo nie spisywali, nikogo nie pytali o nazwisko. Zostaliśmy wpędzeni do kilku pierwszych drewnianych baraków znajdujących się po prawej stronie od wejścia. Baraki po stronie lewej były ogrodzone. Tam znajdowali się więźniowie w pasiakach.

W naszych barakach spaliśmy w ubraniach, w niskich kojcach, jedna osoba obok drugiej, na trocinach. Naprzeciwko wejścia było długie koryto z kranami, a po prawej stronie stało kolejne koryto obite blachą. Do tego drugiego z ciężarowego samochodu łopatami wrzucano kartofle i całe kapusty z głąbami, z których gotowano zupę.

Po jakimś czasie na apelu przedstawiciel (podobno) Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, mówiący po niemiecku, próbował wyjaśnić komendantowi obozu, że jesteśmy rodzinami z dziećmi i że jesteśmy „niepolityczni”. Być może to uratowało nam życie.

W Stutthofie przebywaliśmy około miesiąca, po czym przewieziono nas pod Grudziądz. Trafiliśmy do obozu pracy w szczerym polu. Więźniowie zbudowali tu baraki w kształcie grzybków (okrągłe z dykty) i obili deskami źródelko, żeby łatwiej nabierać wody. My zamieszkaliśmy w baraku nr 2. Spaliśmy w kojcach w ubraniach, a wszy zjadały nas żywcem. Rodzice pracowali przy kopaniu okopów – mężczyźni kopali, a kobiety rozgarniały wykopaną ziemię. Dzieci natomiast chodziły parami do lasu zbierać szyszki. Aż do przyjscia silnych mrozów zbieraliśmy je w plecione koszyki i znosiliśmy na sterty. Do dziś pamiętam żółty koc mojej mamusi, po którym rozpoznawałam ją wśród ludzi pracujących przy okopach, kiedy wracałam z lasu.

Po stałych interwencjach Czerwonego Krzyża zbudowano nam prowizoryczną łaźnię parową i prymitywną izbę chorych, gdzie często przebywałam z powodu gorączki i początków gruźlicy. Niektórzy więźniowie za pośrednictwem Czerwonego Krzyża dostawali czasem listy i małe paczki. My też dostaliśmy od znajomych ze Skierniewic kartkę pocztową z życzeniami na Święta Bożego Narodzenia. Adresowana była na mojego tatusia – Bolesława Podruckiego.

Kiedy zbliżał się front, słychać było odgłosy armat. Po więźniów zaczęli przyjeżdżać niemieccy gospodarze. Nas i jeszcze drugą rodzinę wywieziono do gospodarstwa, jak mówiono, oddalonego o 500 metrów od morza. Niedługo potem uwolnili nas stamtąd Rosjanie, od których dostaliśmy niemiecki wóz z koniem. Kiedy wyjeżdżaliśmy z gospodarstwa z przerażenia zakrywałam oczy, bo droga była usłana ciałami niemieckich żołnierzy i cywilów.

Mój tatuś – taksówkarz warszawski – nigdy wcześniej nie miał kontaktu z końmi. Na szczęście ojciec tej drugiej rodziny był piaskarzem i umiał powozić. Dzięki temu bez przeszkód i przygód dojechaliśmy do Warszawy – ja, mój 16-letni brat Julian oraz rodzice – Waleria i Bolesław Podrucki. Natychmiast udaliśmy się do domu na ul. Lubelską. Niestety okazało się, że został doszczętnie spalony. Na ocalałym

kawałku ściany szczytowej tatuś namalował smołą ogromny napis: „Podruchy u Gebera”, co miało wskazywać miejsce naszego pobytu.

Właściciele pralni Geberowie pozwolili nam zamieszkać na poddaszu portierni. Pamiętam, że spałam zwinęta w dziecinnym łóżeczku, z którego wystawały mi nogi na parapet. W dzień, żeby pozbyć się strupów po odmrożeniach, które miałam po pobycie w obozach, moczyłam nogi w obierkach i nieznanym mi ziołach. Karmiono mnie chlebem ze smalcem, jak się później okazało – psim. W tamtych czasach nie było penicyliny.

Niedługo po powrocie do Warszawy – 1 kwietnia 1945 roku (w pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych) z wycieńczenia i głodu zmarła nasza mamusia. Podczas pobytu w obozie w tajemnicy przed swoim mężem oddawała nam – dzieciom – swoje porcje żywności. Dożywiała nas swoją porcją chleba, dopóki tatuś tego nie zauważył i zaczął pilnować, żeby zjadała całość. Ostatnią podróż przy trumnie ze zwłokami kochanej mamusi przeżyłam tragicznie.

Życie nasze bez mamusi było bardzo ciężkie i smutne, chociaż tatuś robił, co mógł i dbał o nas w miarę swoich możliwości. Żeby nas wyżywić przewoził samochodem ciężarowym przez most pontonowy na Wiśle ludzi powracających po wojnie do stolicy. Brat Julian stojąc na skrzyni samochodu krzychał: „Jedziemy przez Wisłę do Warszawy! Na łepka, co łaska, kto ile da?”

Miałam wówczas jedenaście lat, z czego sześć zabrała mi wojna. Zaczynałam nowe życie w wolnej Polsce, ale okupacja pozostawiła w mojej pamięci trwałe, bolesne ślady...